



ADAM BOBERSKI  
Muzeum Piastów Śląskich

## Kresy są wszędzie<sup>1</sup>

*Kresy. Ocalone wspomnienia* – tak nazwaliśmy wystawę, która żadną miarą nie rości sobie pretensji do opowiedzenia całej historii Kresów Wschodnich dawnej Rzeczypospolitej. Historii, która jest przebogata i wielowątkowa, skomplikowana i dramatyczna, piękna i pełna grozy. Historii, która trwa, mimo że się zakończyła. Taki paradoks. Czym bowiem byłaby polska kultura bez Kresów, bliższych, dalszych, również ta powojenna, po ich utracie? Trudno to sobie nawet wyobrazić. Zwłaszcza kulturę duchową, kulturę słowa. Niezliczone opowieści kresowe przez lata wzbudzały zaniepokojenie, fascynację, kształtowały świadomość, jak choćby ta o Mohorcie z poematu epickiego Wincentego Pola, starym, zasłużonym kresowym rycerzu, pełniącym straż na wschodnich rubieżach państwa polsko-litewskiego, dziś powiedzielibyśmy: dalekich Kresach, tam, gdzie na obronnej placówce, wysuniętym stanicznym posterunku, w mozołe codziennej żołnierskiej służby, wytrwać mogli najdzielniejsi, zahartowani, ofiarni, wybrani, dając innym przykład, ale nie znajdując tłumnych rzesz naśladawców. Tym utworem autor *Pieśni o ziemi naszej* wprowadził pojęcie „kresy” w takim znaczeniu, o jakim tu mówimy, w obieg polskiej myśli, w którym to obiegu pojęcie to z czasem ewoluowało, rozszerzając swoje pole semantyczne. Zapewne jednak żadna z tych opowieści nie może się równać pod względem epickiej urody stylu z *Trylogią* Sienkiewicza i żadna nie zapadła tak głęboko, uwodzicielsko w dusze kilku pokoleń czytelników obrazem malowniczych przy-

---

<sup>1</sup> Tekst ten ukazał się już wcześniej w informatorze zatytułowanym tak samo jak wystawa, której towarzyszył: *Kresy. Ocalone wspomnienia* (Muzeum Piastów Śląskich, Brzeg 2019). W tej formie stanowi on przedruk pierwszego wydania.

gód odważnych, acz niepozabawionych ludzkich przywar, bohaterów, z którymi chętnie się utożsamiano. Po dziś dzień czerpiemy i zapewne w przyszłości nie przestaniemy czerpać z tego źródła, rozmaicie: raz afirmująco, marząc sentymentalnie i bawiąc się, raz polemicznie, oddzielając niekiedy realną rzeczywistość, która bywała siermiężna, od wyidealizowanego mitu o rajcu utraconym, a także usiłując uchwycić to sprzężenie zwrotne między jednym i drugim, to znaczący wpływ rzeczywistości na mit oraz mitu na rzeczywistość. Wartość kulturowa dziedzictwa kresowego i siły jego oddziaływania na kraj i umysły Polaków i nie tylko Polaków jest nie do przecenienia. Jest to potęga, porównywalna tylko z wpływem, jaki miał na polską kulturę i historię romantyzm, który zresztą tam na Kresach Wschodnich się narodził, miał swój macecznik i swoich najwybitniejszych przedstawicieli. W ich twórczości splatała się historia, legenda, natura i ludzkie indywiduum, w przeczuciu raz transcendentnej pustki, raz transcendentnej pełni, kontemplujące rytmy przyrody, rytuały życia i śmierci, paroksyzmy historii, już to w zachwycie, już to w przerażeniu, lecz zawsze na końcu z odrobiną nadziei, ze spajającą wszystko i egzorcyzmującą rozpacz nad światem i ludzkim losem metafizyką. To, co małe i prowincjonalne z wszechświatowego czy globalnego punktu widzenia, w metafizycznym postrzeganiu łączyło się z uniwersum, wchłaniało je i ogarniało. Tak było z prowincjonalnym Drohobyczem, z którego geniusz literacki Brunona Schulza uczynił centrum kosmosu zmytyzowanej rzeczywistości. Czytelnicy Schulza na świecie mogą nawet nie wiedzieć, gdzie leży Polska czy Ukraina, ale dzięki tej magii, która przemienia rzeczywistość w legendę, małe kresowe miasteczko jest ich ukochanym miastem, najważniejszym miejscem na ziemi. Taka jest potęga literatury! Objawia się ona w kontekście Kresów niejednokrotnie. Nie samą literaturą wszakże żyje człowiek. Najwybitniejsi przedstawiciele wszystkich dziedzin polskiej kultury duchowej i materialnej mają kresowe korzenie. Rozproszeni po Polsce i świecie, niosą pamięć o swoich małych ojczyznach i sobą zaświadcniają o niezmiernym bogactwie tkwiącym w ludziach stamtąd się wywodzących. Kresy to pojęcie geograficzno-kulturowe – kraina obfitująca w wartości intelektualne, szczególnie silnie manifestujące się w sztuce słowa, jako się rzekło, ale to także obszar rozkwitu architektury, zwłaszcza sakralnej, której style na wschodnich terenach Rzeczypospolitej, zaszczipiane tam niekiedy z opóźnieniem w stosunku do centralnych czy zachodnich dzielnic, uzyskiwały najdojrzałą i najpiękniejszą postać. Kresy to niepowtarzalny klimat. Miasta, miasteczka i wsie, zamki i pałace, kościoły, katedry i klasztory, dworki szlacheckie, romantyczne ruiny, sławne nekropolie, filomackość Wilna, ateńskość Krzemieńca, elegancja Lwowa, uroda rzek, gór i dolin Huculszczyzny, bezkresnych równin i stepów, melancholijnych Dzikich Pól, bagien Polesia... – wszystko to, w idealizującym brzmieniu, porusza w duszach czule struny estetycznej wrażliwości na pejzaż natury i pejzaż kultury.

Mysząc o Kresach, do których wpada się jak do Soplicowa – jak w centrum polszczyzny, zwracamy szczególną uwagę na to, że owa polskość kształtowała się w kulturowym tyglu, na styku wielu kultur. Siła Rzeczypospolitej Obojga Narodów, a tak naprawdę Wielu Narodów, tkwiła w jej wielokulturowości. Idea jagiellońska przyświecała też Marszałkowi Piłsudskiemu, wielkiemu romantykowi, a zarazem politycznemu realisście, umięjącemu docenić moralną wartość sentymentów przynoszących korzyści z punktu widzenia racji stanu. Wpływając na innych, kultura polska sama ulegała wzbogacającym wpływom, a następnie tak wzbogacona, wzmocniona – wywierała jeszcze silniejszy wpływ i jeszcze silniejszym magnetyzmem się odznaczała. O tym właśnie pisze Paweł Jasienica w *Polsce Jagiellonów*:

Dzieje wewnętrzne dawnej Polski dowodzą olbrzymiej siły przyciągania, jaką odznaczała się nasza kultura. To był jakiś prawdziwy tygiel magnetyczny, który wchłaniał pierwiastki ludzkie napływające z krajów zarówno prymitywnych, jak stojących na szczytach cywilizacji, i w niedługim czasie odmieniał je, przeistaczał na nadwiślański ład.

Ogromne i płodne w szerokim tego słowa znaczeniu Kresy, jako jedno ze znamion minionej potęgi, potrącają w nas też marzycielską strunę, wzmagającą nostalgię za dawną Polską, szczególnie tą ze „złotego wieku”, XVI-wieczną, pozbawioną jakichkolwiek kompleksów. Za czasami, o których Norwid pisał, że Polacy byli wtedy prawdziwie wielkim narodem, a nie zamkniętą sektą; że najbardziej polscy byli właśnie w swej otwartości na kultury innych narodów, kiedy mówili biegle po włosku i hiszpańsku, kiedy królów mieli z obcych dynastii, a z Tatarami walczyli, mając głowy podgolone po tatarsku i po tatarsku dosiadając koni, kiedy przyswajali sobie wszystko, co wartościowe, a język polski zachłannie chłonał i przywłaszczał sobie z innych języków wszystko, co potrzebne mu było do rozwoju, dokonywał swoistej konkwisty i dzięki temu jest teraz taki bogaty i giętki... W tych czasach żył też sławny Jan Abraham Ezołowicz, Żyd i polski szlachcic herbu Leliwa, podskarbi Wielkiego Księstwa Litewskiego, oraz jego młodszy brat Michel, pasowany przez króla na rycerza na rynku krakowskim w dniu hołdu pruskiego... Jak dowodzi historia, różnorodność jest głębią kultury, a kultura, nie zamknięta, tylko otwarta, stanowi o sile państwa i narodu.

Zamiar tedy, jakże gigantyczny, żeby ten kresowy kosmos muzealnymi sposobami wyrazić w całym jego bogactwie, z uwagi na brak wystarczających środków i przestrzeni do jego realizacji, ani przez chwilę w głowie nam nie powstał. Choć bliskie nam są romantyczne porywy rozumnego szaleństwa, mające notabene, jak cały romantyzm, kresowy rodowód, to tym razem nie mierzyliśmy sił na zamiary, tylko zamiary podług sił, z uwzględnieniem też naszych niemałych mimo wszystko ambicji.

To, co Państwo, po przekroczeniu progu wystawy na parterze zachodniego skrzydła Zamku, ujrzycie nie jest więc przekrojem ani próbą syntezy, ani epicką panoramą tysiącletniej historii. Nic z tych rzeczy. Nie znajdziecie Państwo tutaj drogocennych klejnotów, wartych fortunę obrazów, rycerskich zbroi czy innych oszałamiających precjozów. Żadnych skarbów, żadnego złotego runa. Przepraszamy tych, którzy poczują się zawiedzeni. Naszym skarbem i złotym runem będzie co innego.

Skoro już powiedzieliśmy pokrótce, czym ta wystawa nie jest, zdradźmy i uściślijmy wreszcie, czym jest. Ale tutaj pojawia się problem z nazwaniem. A kiedy jest trudno coś nazwać, określić tego czegoś istotę, często w sukurs idą nam porównania, metafory, które nierzadko odznaczają się wysokim poziomem, wręcz naukowej, precyzji. Skorzystajmy więc z takiej pomocy.

*Kresy. Ocalone wspomnienia* to jest jakby lapidarium. W znaczeniu dosłownym lapidarium to zbiór ocalałych resztek kamiennych detali architektonicznych, płyt nagrobnych, epitafiów itd. Burze dziejowe niszczą zamki, pałace, kamienice, klasztory, katedry, cmentarze, ale zawsze, bądź bardzo często, coś z tego zostaje, jakieś szczątki, które później namiętni kolekcjonerzy zbierają, zabezpieczają przed dalszą degradacją, przedłużają ich żywot, słowem, ocalają i tworzą z tego lapidarium ku satysfakcji i ucieście własnej oraz wszystkich innych zainteresowanych. Co byśmy zrobili bez tych szlachetnych maniaków ratowania historii, zakłętej w przedmiotach lub ich ułamkach, przed zapomnieniem! Takie właśnie lapidarium, w dosłownym rozumieniu, mamy i na naszym Zamku.

To zaś „lapidarium”, które stanowi treść wystawy kresowej, jest zbiorem ocalałych rodzinnych pamiątek związanych z Kresami. Jakie to pamiątki? Pełna ich lista znajduje się w załączniku na końcu tego informatora. Zanim przejdziemy do przykładów, zdefiniujmy ogólnie ich charakter. Pamiątki te, naszym zdaniem, są rodzajem identyfikacji. Zewnętrznym jej wyrazem. Identyfikacji osobistej, rodzinnej, narodowej, religijnej, językowej, kulturowej. Identyfikacji tych, którzy Kresy zmuszeni byli opuścić w trakcie powojennej wędrówki ludów i osiedlić się na tzw. Ziemiach Odzyskanych. Kim jestem ja, kim moi rodzice, dziadkowie, rodzeństwo, bliźsi, dalsi krewni, znajomi, przyjaciele, koledzy, kim są moje autorytety, kogo spotkaliśmy na naszej drodze i wspominamy o tym z dumą – to określają owe skromne, a zarazem cenne przedmioty, takie jak zdjęcia rodzinne, fotografie z dedykacjami, świadectwa szkolne, dyplomy, pamiątniki, legitymacje czy listy. Określają te przedmioty zarazem kulturową tożsamość polskiego narodu. Są kartką z księgi narodowej pamięci o wymiarze ogólnoludzkim. Wspomnieniem ziemi kresowej, zasobnej, bogatej, ale i biednej, doświadczonej, często ogarniętej pożogą, nie tylko tą bolszewicką, która została opisana przez Zofię Kossak-Szczucką. Ujmując rzecz nieco metaforycznie, żyjemy na zgliszczach epickiego świata, takiego, który umiera, aby potem odrodzić się w wielkiej epice literackiej dzięki swemu „Homerowi”. Żyjemy na zgliszczach

wielu światów: szlacheckiego, arystokratycznego, mieszczańskiego, żydowskiego, ułańskiego i innych. Dosłownie i w poetyckiej przenośni rozgrzebujemy popioły i gruzy w poszukiwaniu ocalałych drobin tych światów strawionych historycznym pożarem, wydobywamy okruchy skorup, pojedyncze malowane kafle z rozbitych pieców, które potem będziemy próbowali odtwarzać... Poszukujemy jak skrupulatni paleontolodzy najdrobniejszej kosteczki, aby na jej podstawie rekonstruować przeszłość... Przeszłość, która bezpowrotnie odeszła, i nie było to odejście naturalne, jak naturalna bywa śmierć, było to odejście w pomroce i nawałnicy dziejów, w najokrutniejszym w historii czasie, przypadającym na drugą wojnę światową. Lecz nie całkiem umarła... Lapidarium zawsze ma w sobie tę ambiwalencję: zagłady i ocalenia, jest obrazem zniszczenia, ale też ocalenia jakiejś cząstki, która świadczy za całość, upamiętnia ją, a może nawet jest w stanie ją odbudować... choćby tylko w wyobraźni.

Wielu z nas – jeśli nie wszyscy – jest kolekcjonerami takich rodzinnych pamiątek i posiada wraz z bliskimi takie domowe „lapidarium”. Nie wszyscy jednak są do tego stopnia szczodrzy – czemu nie można się dziwić – aby najdroższe nieraz sercu przedmioty podarować muzeum, nawet gdy towarzyszy temu świadomość, że nie idą one na zmarnowanie, oraz pociecha i niemała satysfakcja, że przysłużą się innym, a wieść o nas i naszej rodzinie rozszerzy się, zapisze w pamięci historycznej obecnych i przyszłych pokoleń.

Inna metafora, jaką można by się posłużyć, to metafora Atlantydy. Użył jej profesor Stanisław Sławomir Niciejka, miłośnik Kresów Południowo-Wschodnich i najwybitniejszy ich znawca, w tytule serii książek poświęconych miastom i miasteczkom kresowym: *Kresowa Atlantyda*. Jak wiadomo, starożytna, mityczna czy na poły mityczna, ta, o której pisał Platon, Atlantyda zatonała. Atlantyda kresowa również zatonała, ale nie całkiem, nie w taki ostateczny sposób jak tamta. Wiele, o wiele więcej niż po tamtej, ocalało. Wśród ocalałych rzeczy – są właśnie te ułamki wspomnień z naszej wystawy, które na nasz brzeg/Brzeg wyrzuciła fala historii, wcześniej zatopiwszy okręt o nazwie *Serenissima Respublica*... okręt, ale nie pamięć o nim...

\*

Nie mniej ważna jak zbiory rodzinnych pamiątek i dokumentów, umieszczonych w gablotach, jest aranżacja naszej wystawy, stanowiąca nie tylko oprawę, dekorację, tło dla zgromadzonych eksponatów, ale także będąca wartością samą w sobie, w aspekcie historycznym, artystycznym i symbolicznym. Jest ona wymowna, nasycona znaczeniami. Zwiedzającemu, po wejściu, ona przede wszystkim i w pierwszej kolejności rzuca się w oczy. A złożona jest z szeregu istotnych elementów. Roztacza się oto wokół pewna narracja. Widzimy na przykład salonik szlachecki, potem salonik mieszczański, chłopską izbę wraz z ich wyposażeniem. Wszystko odtworzone z dbałością o prawdę historyczną, nie ma tam niczego przypadkowego, w doborze eksponatów bowiem kiero-

waliśmy się opisem źródłowym i rzeczywistością utrwaloną na fotografiach z epoki. Mamy zatem tutaj trzy światy, które – przynajmniej w takiej stylowej formie, z dziewiętnastego i początku dwudziestego wieku – już nie istnieją. Te scenografie proszą się wręcz o zainscenizowanie w nich jakiegoś przedstawienia. Nadto na zainteresowanych, chcących pogłębić swoją wiedzę historyczną, czeka budka telefoniczna i słuchawka staroświeckiego telefonu, z którego będzie można wysłuchać obszernych fragmentów wspomnień nieżyjącej już Barbary Raczyńskiej-Czyżyk, spisanych przez nią i zatytułowanych *Ural. Moja ojczyzna mimo woli*. Czyta je Ewa Wyszomirska, aktorka Teatru im. Jana Kochanowskiego w Opolu. Jednak nie jest to typowy audiobook, ponieważ ma tutaj miejsce swoisty dialog pomiędzy czytającym a słuchaczem, rozpoczynający się od słów aktorki, która wcieliła się w postać Barbary Raczyńskiej-Czyżyk: „Halo, halo, czy mnie słyszysz?”. Ta „rozmowa telefoniczna” ma stworzyć metafizyczne wrażenie połączenia tego, co było w przeszłości, z tym, co jest w teraźniejszości. Jest to jakby telefoniczna rozmowa z zaświatami. Nagranie zostało zarejestrowane w studiu Radia Opole i trwa standardowe dla audycji radiowej 25 minut. Serdecznie dziękujemy opolskiej rozgłośni za okazaną nam absolutnie profesjonalną pomoc.

Na słupku rozdzielającym dwa saloniki zostały umieszczone monitory z prezentacją slajdową dworców (16), kościołów (56), cerkwi (40), synagog (6), widoków, miejsc i ludzi (66), wsi (14), zamków i rezydencji (94). 292 slajdy, z podkładem muzycznym kompozytora kresowego Ignacego Feliksa Dobrzyńskiego – utworem fortepianowym pt. *Dwa nokturny op. 24*, który otwiera całość prezentacji. Fotografie, które zostały użyte do slajdów, pochodzą z zasobów Narodowego Archiwum Cyfrowego.

Warto dodać, że wystawa nasza jest sensoryczna, angażująca wszystkie zmysły, łącznie z powonieniem. W kąciaku wiejskim unosi się zapach ziół – osiem odmian mięty!

Niezwykle istotnym składnikiem aranżacyjnym ekspozycji jest tor. Kolejowy tor przecinający salę wystawową. Do ścian przytwierdzone są duże fototapety, na których widnieją dwa wspaniałe dworce kolejowe: eklektyczny dworzec we Lwowie i obok podobny do niego – w Stanisławowie. Na trzeciej fotografii lokomotywa ze składem wagonów oczekuje na stacji w Gródku Jagielloński. Na te fotografie nałożone zostały dwa inne zdjęcia. Grupa utrudzonych ludzi, kobiet, mężczyzn i dzieci, zwrócona jest ku dworcowi lwowskiemu. Nieopodal rodzina – widzimy kobietę z małym dzieckiem na ręku – pcha, ciągnie, mocuje się z prostym wózkiem wypełnionym jakimś dobytkiem. Nagle wózek, w każdym razie bardzo podobny do tego na zdjęciu, jakby materializuje się na naszych oczach, na środku wystawy, przy torze, a fotografia zyskuje dzięki temu historycznemu rekwizytowi niejako trzeci wymiar. Nad fototapetą biegnie litania miast: Lwów, Stanisławów, Tarnopol, Brześć, Sambor, Stryj, Równe, Borysław, Złoczów, Łuck, czyli miast, z których Polacy zostali wypędzeni, a zarazem miast, z których pochodzą nasi



darczyńcy bądź ich nieżyjący już przodkowie i ich pamiętki. Tor dochodzi do kolejnej fototapety, przedstawiającej dworzec w Brzegu, a ponad nim znowu litania miast: Rogelwitz, Opeln, Leobschutz, Neisse, Mangschütz, Brieg, gdzie osiedliły się rodziny tułaczy, a równocześnie naszych darczyńców. Jedną z takich rodzin przedstawia fotografia poniżej brzeskiego dworca. Tory (i walizki wzdłuż nich porozrzucane) mają tutaj wymiar symboliczny. W kontekście drugiej wojny światowej kojarzą się źle. Bardzo źle. Wiążą się z traumatycznymi przeżyciami ludzi skazywanych na okrutny los, poniewierkę, wygnanie, często u celu podróży bydłym wagonem – pewną śmierć w komorze gazowej. Przywołują obrazy wywózek na Sybir, transportów do obozów koncentracyjnych, „ostatecznego rozwiązywania problemów”, szaleństw „historii spuszczonej z łańcucha”, zbrodni totalitaryzmów: nazistowskiego i komunistycznego. Wiek dwudziesty to wiek barbarzyńskich masowych wysiedleń. Okazało się, że ludzie różnych narodowości można milionami przepędzać z jednego krańca na drugi, nie muszą oni nawet przekraczać granicy, aby znaleźć się za granicą, bo to nie oni przekraczają tę granicę, granice ich przekraczają i czynią obcokrajowcami we własnym kraju.

Nie sposób w tym kontekście: tory, dworce, podróż, wygnanie, powrót – nie zacytować przynajmniej fragmentu wiersza *Jechać do Lwowa* wielkiego poety, Adama Zagajewskiego, urodzonego w tym majestatycznym mieście siedmiu wzgórz nad skromną rzeką Pełtwią.

Jechać do Lwowa. Z którego dworca jechać  
do Lwowa, jeżeli nie we śnie, o świcie,  
gdy rosa na walizkach i właśnie rodzą się  
ekspresy i torpedy.

[...]

Zawsze było za dużo Lwowa, nikt nie umiał  
zrozumieć wszystkich dzielnic, usłyszeć  
szeptu każdego kamienia, spalonego przez  
słońce, cerkiew w nocy milczała zupełnie  
inaczej niż katedra...

[...]

było za dużo Lwowa a teraz nie ma  
go wcale...

[...]

...katedra drżała i żegnano się o poranku  
bez chustek i bez łez, takie suche  
wargi, nigdy cię nie zobaczę, tyle śmierci  
czeka na ciebie, dlaczego każde miasto  
musi stać się Jerozolimą i każdy  
człowiek Żydem i teraz tylko w pośpiechu  
pakować się, zawsze, codziennie  
i jechać bez tchu, jechać do Lwowa, przecież  
istnieje, spokojny i czysty jak  
brzoskwinia. Lwów jest wszędzie.

Lwów, *semper fidelis*, równie ważne miasto w kulturze polskiej, jak Warszawa, Kraków czy Wilno, Lwów utracony – to szczególnie bolesna i niezagojona rana...

Ale Lwów jest wszędzie, jak chce Poeta, a skoro wszędzie, to i w Brzegu. Żartobliwie można by powiedzieć, że również my wszyscy jesteśmy ze Lwowa... z wyjątkiem tych, oczywiście, którzy są z Wilna. Albo inaczej, parafrazując te koncepty: wszyscy jesteśmy z Kresów, tak jak Kresy są wszędzie, w znaczeniu, o którym pisaliśmy: historycznym, kulturowym, emocjonalnym, nawet ogólnoludzkim, jako pewna tradycja. Ale także w tym sensie, że ci, którzy na Kresach się urodzili i zachowali o nich pamięć, nieustannie do nich, niczym Odys do Itaki, w myślach, w rozmowach czy we wspomnieniach, wracali, jako do miejsca jedyne w swoim rodzaju. Innymi słowy, wypędzeni z Kresów, zabrali je ze sobą, a potem przekazali spadkobiercom. Dlatego Kresy są wszędzie.

Naszej wystawie też przyświeca idea podróży, powrotu. My też chcemy „jechać do Lwowa”, „jechać na Kresy”, chcemy wybrać się w tę „sentymentalną podróż”, po tych torach, tylko że w przeciwnym kierunku, na wschód, odwracając aksjologicznie bieg historii, ocalając wartości, bo inaczej odwrócić się tego biegu nie da. Jest więc ta wystawa swoistym powrotem na Kresy. Niczym powrót wspomnianego Odysa do wspomnianej Itaki.

Kiedy „skończyła się wojna, to przelewanie krwi z pustego w próżne” – jak aforystycznie ujął zjawisko jeden z genialnych matematyków lwowskich, Hugo Steinhaus, przed wojną profesor Uniwersytetu im. Jana Kazimierza, po wojnie związany z Uniwersytetem Wrocławskim – wymuszona przez układy polityczne wędrówka ludów trwała nadal i przybierała na sile. Steinhaus, jak wielu lwowiaków, znalazł w nadodrzańskiej metropolii, zamienionej w czasie wojny w morze ruin, swoją drugą ojczyznę albo przynajmniej azyl. Stanisław Lem natomiast, inny z wielkich lwowiaków, geniusz absolutny, jaki się trafia raz na sto albo na tysiąc lat, a przy tym autor najbardziej uroczej, bo dowcipnej i wzruszającej, książki o Lwowie i o swoim cudownym dzieciństwie w nim spędzonym: *Wysoki Zamek*, tak był w swoim rodzinnym mieście zakochany, że do końca życia uważał siebie za azylanta... w Krakowie!, gdzie po wojnie zamieszkał. Tak więc nie wszyscy z polskością związani zadomowili się w pełni nie tylko na tzw. Ziemiach Odzyskanych, które trzeba było dopiero sobie przyswoić, ale nawet w królewskim Krakowie, skupiającym tysiąc lat polskiej historii!

Wielu z tych, których nazywano repatriantami, a tak naprawdę byli to ekspatrianci, po przyjeździe na Ziemię Odzyskaną, jak wiemy z przekazów rodzinnych, miało poczucie tymczasowości i nawet chcieli mieć takie poczucie, ponieważ utwierdzało ich ono w nadziei, że zaraz zabiorą się w drogę powrotną. Nie myśleli, jak to się odbędzie, jakim zrzędzeniem losu czy polityki, ale w to wierzyli. Nawet niektórzy się nie rozpakowywali. Ale z drugiej strony była w nich jakaś siła witalna, która nakazywała żyć, mimo wszystkich przeciwności, a wielu z nich miało za sobą szczególnie dramatyczne przeżycia, i w końcu pogodzić się z losem, na który nie mieli wpływu.



Dlatego nieraz wiele musiało wody upłynąć, niejedno musiało się wydarzyć, zostać przemyślane, przeżyte, przyswojone, aby repatriant, a tak naprawdę – ekspatriant bądź jego potomek mógł powiedzieć ze szczerym przekonaniem, mając na myśli Dolny Śląsk, Opolszczyznę, ziemię brzeską, gdzie przyszło mu żyć: „Jestem stąd”. „Jestem stąd, ale jestem również stamtąd, z Kresów, mojej duchowej ojczyzny czy jednej z duchowych ojczyzn, nawet jeśli się tam nie urodziłem. Ponieważ mam przez Kresy ukształtowaną wyobraźnię, wrażliwość i topografię duszy”.

Dzięki naszej wystawie Kresy, mamy nadzieję, będą bardziej w Brzegu obecne, Lwów będzie w Brzegu bardziej obecny, a na Wysokim Brzegu, być może, w sensie metaforycznym, stanie Wysoki Zamek. Wysoki Brzeg i Wysoki Zamek – bardzo do siebie pasują!

\*

Pomysłodawcą oraz inicjatorem utworzenia stałej wystawy pn. *Kresy. Ocalone wspomnienia*, stawiającej sobie za cel upamiętnienie Kresów z perspektywy tych, którzy zostali z Kresów wygnani, oddania hołdu Kresowiakom, m.in. pochodzącym z Kresów Południowo-Wschodnich mieszkańcom ziemi brzeskiej, był Dariusz Byczkowski, Dyrektor Muzeum Piastów Śląskich w Brzegu, mający również, jak zresztą większość naszych współobywateli, kresowe po rodzicach korzenie. Zrozumienie dla tej inicjatywy wykazał Marszałek Województwa Opolskiego Andrzej Buła i wsparł ją, przekazując środki finansowe na jej realizację. Znaczącą pomoc finansową na ten cel przekazali także, bardzo tematyką kresową zainteresowani, Burmistrz Brzegu Jerzy Wrębiak wraz z radnymi Rady Miejskiej Brzegu. Zapadła decyzja i przystąpiliśmy do dzieła. W mediach ogłosiliśmy nasz zamiar, zwracając się do potencjalnych darczyńców z prośbą o przekazywanie eksponatów do tzw. Archiwum Kresowego, które miało poprzedzać wystawę, być jej bazą, a potem miało jej stale towarzyszyć. Urosło ono w szybkim tempie do ogromnych rozmiarów i powiększa się sukcesywnie, między innymi dzięki nieustającej hojności ofiarodawców, stanowiąc rezerwar, z którego czerpie wystawa stała i czerpać zapewne będą ewentualne wystawy czasowe, jakie zamyśliśmy w przyszłości Kresom Wschodnim poświęcić. Główny ciężar realizacyjny projektu spoczął na dwóch paniach kustosz z naszego Muzeum: Małgorzacie Młynarskiej i Teresie Piaseckiej, którym należą się za ich tytaniczną i benedyktyńską pracę, zarówno przy tworzeniu Archiwum Kresowego, jak i aranżacji ekspozycji, wyrazy najwyższego uznania. Opracowanie projektowe, plastyczne i graficzne, oparte na dokładnych wyliczeniach i planach, wykonał brzeski plastyk i fotograf Tomasz Fronckiewicz, tworząc koncepcję wystawy, natomiast sama przebudowa pomieszczeń wystawowych została przeprowadzona przez Przedsiębiorstwo Robót Specjalistycznych „FERU” Marek Rus. Przez wiele zaś miesięcy pozyskiwaliśmy eksponaty, przeważnie skromne, biedne i bezcenne niczym wdowi grosz przekazany od serca, a szara rzeczywistość mieszała się

w nich z poezją. Nie przywozili wszak, ci egzulowie dwudziestego wieku, ze sobą skarbów, nie licząc tych, które mieli w swoich głowach i sercach. Skarby zostawili za sobą: kraj lat dzieciennych, domy piękną architekturą ukształtowane, mieszkania z całym ich wyposażeniem, meble, biblioteki, z których niewielką częścią mogli uszczknąć i zabrać ze sobą; im kto więcej miał, tym więcej stracił. Poza tym względna jest wartość przedmiotów. Rzecz obiektywnie tania, niedroga może mieć subiektywnie ogromną wartość: emocjonalną, sentymentalną, wspomnieniową. Taka jest wartość większości eksponatów nowej wystawy. Tak więc mamy tu drobne przedmioty o wielkim ładunku emocjonalnym. Taki ładunek zawierały one w czasach, z których pochodzą, wyrażając uczucia swoich, nieraz w dramatycznych sytuacjach znajdujących się, właściciele, i przenieśli go, często dzięki trosce potomków, przed którymi wypada teraz pochylić głowy, w nasze czasy. Mają one wymiar zarazem osobisty i wspólnotowy, stanowiąc nieraz swego rodzaju „wyposażenie osobiste” polskiego patrioty. Współtwórcami tej ekspozycji są więc nasi darczyńcy, którym z całego serca składamy jeszcze raz najgorętsze podziękowania. Podczas spotkań z nimi, kiedy powierzali nam swoje pamiątki, niczym relikwie, przeżywaliśmy nieraz wzruszające chwile, z trudem powstrzymując łzy.

Porównaliśmy naszą wystawę kresową do lapidarium... Mianem lapidarium określa się też gatunek literacki (patrz *Lapidaria* Ryszarda Kapuścińskiego, również Kresowiaka, rodem z Pińska), będący zbiorem krótkich zapisków o dowolnej tematyce, coś w rodzaju dawnego starszlacheckiego *silva rerum*. To dobrze koresponduje z charakterem tej wystawy. Rozrastanie się Archiwum Kresowego zrodziło naturalną potrzebę selekcji, wyboru, kompozycji, opracowania, uporządkowania ocalonej pamięci. Naturalna jest ludzka, nie tylko muzealna, potrzeba katalogowania, aby lepiej zrozumieć, aby ogarnąć badane zagadnienie. Dało się więc wkrótce, wraz z przybywaniem eksponatów, wyodrębnić następujące zespoły tematyczne, które w spisie na końcu tego informatora zostaną powtórzone i szczegółowo rozwinięte, a więc: ŻYCIE ARTYSTYCZNE; ŻYCIE RODZINNE; GOSPODARSTWO DOMOWE, PORADY, PRZEPISY KULINARNE; PAMIĘTNIKI; OŚWIATA; DOKUMENTY, LEGITYMACJE; PLANY BUDOWY DOMÓW; KOŚCIÓŁ, ŻYCIE DUCHOWE; DRUKI PATRIOTYCZNE; KOLEJNICTWO; WOJSKO; WEKSLE, OBLIGACJE; KARTY POCZTOWE – LISTY; AKTY URODZENIA I ZGONU; EWAKUACJA LUDNOŚCI – PRZESIEDLENIA, ORGANIZACJA ŻYCIA NA ZIEMIACH ODZYSKANYCH; POSZUKIWANIE OSÓB ZAGINIONYCH; RZEMIOSŁO.

\*

Nasza nostalgiczna wystawa-podróż ukazuje nade wszystko moment rozdarcia, wygnania, wykorzenia, wyrwania z ojcowizny, utraty tego, co miłe sercu, przerwania ciągłości historycznej. Szczególnie wymownym świadectwem tego rozdarcia, a zarazem istotną częścią zbiorów Archiwum Kresowego, są listy.

W tym listy pisane z zesłania. Przeważnie po rosyjsku, bo taki był nakaz cenzury, ale udawało się piszącym czasem przemycić między rosyjskim wierszami polskie słowa i zdania, których oko cenzorskie nie wyłowiło. Przejmujący jest to zapis tęsknoty za bliskimi, bezradności, tłumionej rozpaczy i nadziei.

\*

Ciekawą kategorią eksponatów, które do nas trafiły, są pamiętniki, inaczej mówiąc: sztambuchy, albumy, imionniki. Czyli zeszyty-książki, w których poproszone przez ich właścicieli osoby wpisywały dedykowane im wiersze (tzw. wiersze sztambuchowe, najczęściej anonimowe, które tak jak współczesne memy internetowe – w owym czasie rozpowszechniały się poprzez sztambuchy), wpisywały sentencje, nauki moralne, specjalnie do konkretnego adresata dobrane, przemyślenia (własne bądź cudze, np. takie: „Nie gońmy za tem, co piękne, co szumne,/ Co pustym dźwiękiem ucho nasze pieści,/ A ukochajmy, co jasne, rozumne,/ Co jest głębokie i co pełne treści”), przemyślenia często odwołujące się do uczuć patriotycznych, zawierające filozoficzne rady, jak żyć, czego się w życiu trzymać, a czego wystrzegać, jak osiągnąć szczęście, podawane w tonie poważnym lub dowcipnym, ponadto zamieszczano rysunki, wkładano pomiędzy stronicę zasuszone liście, płatki kwiatów, czterolistne koniczyny, wklejano zdjęcia itd. – wszystko to z sympatii i ku pamięci. Niegdyś był to bardzo ważny, charakterystyczny dla romantyzmu i po romantyzmie odziedziczony, przejaw kultury uczuciowej Polek i Polaków. Czy ktoś jeszcze dzisiaj kultywuje tę tradycję?

Znajdujące się w naszych zbiorach pamiętniki obejmują początek minionego wieku, gdzie szczególnie zaakcentowany jest moment wybijania się Polski na niepodległość, okres dwudziestolecia międzywojennego, lata czterdzieste, wojenne i tużpowojenne; zawierają wpisy poczynione w miastach kresowych, takich jak Lwów, Horochów, Truskawiec, Tarnopol, ale także pojawiają się wpisy z innych regionów, jakie sentymentalni posiadacze pamiętników zwiedzali, jak np. z Zakopanego.

\*

W Archiwum Kresowym i na wystawie nie mogło zabraknąć miejsca na fotografie portretowe. Przekazano nam ich mnóstwo. Zatrzymane w kadrze, utrwalone na kliszy negatywowej, a następnie światłoczułym papierze ulotne chwile z życia wielu osób, przodków naszych krajanów: z końca XIX w., początku XX, a więc tzw. *fin de siècle* i *belle époque*, z międzywojnia, z wojny i wczesnych lat powojennych, czasów wielkich przemian, przełomów, katastrof, nowych peregrynacji ludów. Zatrzymane w czasie życia, pomiędzy jednym a drugim mrugnięciem oka. Trochę upozowane, ale bez sztuczności. Stylowe i odświeżone. W nastrojowych zaciszach fotograficznych atelier, pośród dekoracji, tła, rekwizytów. Fragment historii Polaków i historii fotografii.

Fotografia to taki przedmiot, który w miarę łatwo da się, schowawszy za pazuchę, przenieść przez zawieruchę wojenną i powojenny chaos, zajmuje nie-

wiele miejsca. To taki przedmiot, który zawsze odruchowo zabiera się ze sobą, kiedy wyrusza się w daleką i niechcianą podróż. Jest to jedyny nieraz materialny ślad po ludziach i miejscach. Tym większa nasza wdzięczność wobec osób, które nam zdjęcia swoich krewnych przekazały, dzieląc się swoją rodzinną historią.

Obecnie, w czasach spowszedniałej, masowej fotografii cyfrowej, te stare czarno-białe zdjęcia, oprócz wartości historycznej, zdają się mieć jeszcze jakąś wyjątkowość, tajemnicę, magię. Ich zadaniem było ukazać nie tylko zewnętrzną prawdę, ale także dotrzeć do prawdy wewnętrznej portretowanych osób. A przynajmniej fotografowie podejmowali takie próby. Fotograf w swojej pracowni był niczym alchemik poszukujący kamienia filozoficznego. Dzięki czemu zdjęcie nierzadko miało więcej do powiedzenia, niż było na nim pokazane, na podobieństwo tekstu literackiego ukrywającego sekretną treść, którą to treść wszelako dawało się odczytać.

\*

W przepastnych zasobach Archiwum Kresowego znalazło się również miejsce na papiery wartościowe, takie jak weksle czy obligacje wojenne. Dla ilustracji wskażmy te oto: dwa weksle na sumę 200 guldenów i jeden na 240 koron, oba wystawione w Samborze – czyli Galicja, zabór austriacki – u schyłku XIX w. Z obligacji zaś – sowieckie obligacje pożyczki wojennej: z 1940 r. na kwotę 10 rubli, z 1943 – na 50 rubli, z 1945 – na 200 rubli. W niejednym „domowym archiwum kresowym” można takie wojenne, smutne pamiątki znaleźć.

Weksle, obligacje dawały gwarancję wierzycielom, czasem spędzały sen z powiek dłużnikom. Lecz kiedy dłużnikiem jest państwo, a szczególnie takie jak Związek Sowiecki, a jeszcze szczególnie pod rządami Stalina, a w dodatku wierzycielem jest Polak z Kresów od Polski oderwanych – sprawa się znacznie komplikuje...

\*

Dramatyczne były dzieje kresowej inteligencji. Jako intelektualna elita narodu w szczególny sposób narażona była na prześladowania ze strony okupantów: sowieckiego i niemieckiego. Obrazują to m.in. losy inteligenckich rodzin Pileckich i Raczyńskich. Ich potomek, Władysław Karol Czyżyk, jest naszym kolegą, kustoszem i kierownikiem Działu Archeologii Muzeum Piastów Śląskich. Przekazał Archiwum Kresowemu masę rodzinnych skarbów.

Jego matka, Barbara Raczyńska-Czyżyk, brzeżanka, o której już tutaj pisaliśmy (przypomnijmy, że właśnie jej wspomnień, lwowskich i łagrowych, można wysłuchać w telefonicznej budce), jest jedną z bohaterek książki Mariusza Urbanka *Profesor Weigl i karmiciele wszy*.

Rudolf Weigl był sławnym na cały świat już przed wojną uczonym ze Lwowa, który wynalazł i przez wiele lat produkował szczepionkę przeciwko tyfusowi plamistemu, śmiertelnej chorobie, która dziesiątkowała ludność w różnych regionach globu, zwłaszcza w czasach wojen i postępującej ich śladem biedy. Szczepionka

wynaleziona przez Weigla była skuteczna i uratowała wiele milionów istnień ludzkich: w Europie, Afryce i Azji. Wielką niesprawiedliwością było nieprzyznanie mu Nagrody Nobla, mimo że przez wiele lat regularnie był do niej nominowany. Książka ukazuje go nie tylko jako heroicznego uczonego, narażającego swoje życie dla nauki i postępu medycyny, ale również jako wielkiego polskiego patriotę, w którego żyłach nie płynęła ani jedna kropla polskiej krwi – matka i ojciec Weigla byli Austriakami. Jego polskość była kwestią wyboru i lojalności, a przy tym kolejnym dowodem, że naród jest przede wszystkim wspólnotą kultury, historii, wyznawanych wartości, w o wiele zaś mniejszym stopniu – natury, więzów krwi. Weigl dochował wierności Polsce, mimo że był kuszony przez Niemców po zajęciu przez nich Lwowa, że jeśli podpisze reichslistę, czeka go jeszcze większa kariera, profesura w Berlinie i Nagroda Nobla – o co Niemcy mieli się wystarać, wykorzystując swoje wpływy i naciski w Sztokholmie. Oparł się tym pokusom, ale także groźbom – grożono mu, że może go spotkać los profesorów uczelni lwowskich, zamordowanych na Wzgórzach Wuleckich w 1941 r. Hitlerowcy nie spełnili groźby i prawdopodobnie nigdy nie mieli takiego zamiaru – polski uczoney był im potrzebny. Potrzebna im była jego szczepionka. Jedyne, na co Weigl się zgodził, to nadal być kierownikiem swego Instytutu i pod okiem Niemców kontynuować w nim pracę, która była sensem jego życia. Podobnym intratnym pokusom ze strony Sowietów opierał się, za ich pierwszej i drugiej okupacji, i tylko na jedno się godził – na udoskonalanie i produkcję szczepionki dla ratowania życia ludzkiego, bez względu na narodowość, kolor skóry, wyznawaną religię czy światopogląd.

Obok głównego, indywidualnego bohatera, zbiorowym bohaterem książki Mariusza Urbanka są również tytułowi „karmiciele wszy”, osoby zatrudniane w Instytucie Weigla. Wszy roznosiły chorobę. I z nich również pozyskiwano szczepionkę. Aby tak się stało, trzeba je było utrzymać przy życiu karmiąc własną krwią. Karmiono wszy zdrowe, a następnie zarażone riketsjami, aby po inkubacji, z ich wypreparowanych i zmiażdżonych przewodów pokarmowych uzyskać zawiesinę, z której odwirowywano nadającą się do zaaplikowania szczepionkę, niemal w stu procentach uodparniającą na tyfus, a w przypadku zarażenia zapobiegającą śmierci. Karmicielami wszy bywali również sam Weigl, jego żona oraz syn, a także inni pracownicy: kadra naukowa, preparatorzy, strzykacze, laboranci. Zapotrzebowanie na szczepionkę było ogromne. Praca u Weigla, choć niebezpieczna, była pożądana. Nie tylko ze względu na skromną, ale nie do pogardzenia, zapłatę i niewielki przydział żywności. Przede wszystkim z uwagi na ochronę przed terrorem, jaką dawała. Dlatego nie było łatwo ją dostać. Trzeba było mieć znajomości, rekomendację. Niemiecki ausweis z „gapą” to była polisa na życie, chroniła przed łapanką, aresztowaniem, wywózką na roboty do Niemiec. Podobnie było z sowieckim dokumentem uprawniającym do wstępu do Instytutu Weigla. Obu okupantom zależało na szczepionce, więc

Instytut Weigla i jego pracownicy byli pod specjalnym nadzorem, ale i ochroną. Absurdalne były późniejsze zarzuty o kolaborację kierowane pod adresem Weigla (choć nigdy oficjalnie). Co prawda szczepionki były produkowane na potrzeby armii niemieckiej, ale również przemycane były dla Armii Krajowej i do getta. Jako karmicieli wszy i laborantów Weigl zatrudniał przedstawiciele polskiej inteligencji, profesorów, naukowców, literatów, artystów, a więc elitę narodu, szczególnie zagrożoną ze strony okupantów, dążących do wyniszczenia najwartościowszej tkanki narodu, zapewniając im bezpieczeństwo oraz minimalne środki do życia. Jednym z karmicieli był np. Zbigniew Herbert.

Jedną z karmicielek zaś, nad której losem pochyła się w swojej książce Mariusz Urbanek, była także Barbara Raczyńska-Czyżyk. Trafiła do Instytutu Weigla jako szesnastoletnia dziewczyna. Jej ojciec, starosta powiatu horochowskiego, został zamordowany przez Sowietów. O swoich przeżyciach z tego okresu, a także dalszych losach (Barbara za działalność konspiracyjną została zesłana do łagru na Uralu) pisze w pamiętniku (dostępnym w całości w Internecie na: <http://aulich.pl/index.php/pamietnik-basi>, a we fragmentach, do odsłuchania, na naszej wystawie). I z tego źródła również czerpał przy tworzeniu książki o Weiglu Mariusz Urbanek. W naszych zbiorach posiadamy legitymację Anny, ciotki Barbary, z 1948 r., poświadczającą zatrudnienie we lwowskim instytucie, kontynuującym po wojnie dzieło Weigla; legitymacja laborantki była przepustką do instytutu, a poza jego murami – gwarantem bezpieczeństwa.

\*

Pozazdrościć takiej pamiętki rodzinnej! Fotografii niezwyklej kobiety, „na wskroś pięknej”, jak ją określił w tytule poświęconej jej biografii Arael Zurli. Na niej odręczna dedykacja: „Dla Panny Walentyny Pikówny. Dziękuję za kwiatki i list. Helena Modrzejewska. 1903”.

Helena Modrzejewska była najślawniejszą diwą w całej historii polskiego teatru. Po sukcesach krajowych, na deskach teatrów Krakowa, Lwowa i Warszawy, wyruszyła na podbój scenicznego świata poza granicami Polski, i dokonała tego, co nie udało się nikomu z jej rodaków ani przed nią, ani po niej. Była najbardziej podziwianą aktorką swoich czasów. Zdobyła światowy rozgłos po obu stronach Atlantyku przede wszystkim rolami szekspirowskimi, występując w wielu miastach wschodniego i zachodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych i w Wielkiej Brytanii, a jej kreacje, np. w *Wieczorze Trzech Króli* czy *Jak wam się podoba*, wzbudzały jednomyślny i jednogłośny aplauz widowni i krytyków, zapisując się na całe życie w pamięci tych, którzy mieli szczęście je oglądać, i przechodząc do legendy powtarzanej przez następne pokolenia, dysponujące tylko relacjami ustnymi, pisanymi i zdjęciami, jak to, które otrzymaliśmy w darze.

Kiedy już była niekwestionowaną gwiazdą, Modrzejewska często bywała w ojczyźnie: dla odpoczynku albo na występach. W czasie jednego z takich krajowych tournée, w 1903 r., wystąpiła w Teatrze Miejskim w Krakowie (dzi-



siaj Teatr im. Juliusza Słowackiego) w roli Marii Stuart w dramacie Fryderyka Schillera. To przedstawienie obejrzała również Walentyna Pikówna, siostra prababki Władysława Karola Czyżyka, fanka, jak byśmy dziś powiedzieli, Modrzejewskiej, a po jego zakończeniu udała się do aktorki po dedykację; zachowała również plakat obwieszczający to wydarzenie, który wraz ze zdjęciem znalazł się w naszym Archiwum. Z informacji na plakacie dowiadujemy się nie tylko o obsadzie inscenizacji, ale także o rozkładzie miejsc oraz o dodatkowej atrakcji, jaką rozporządzał ten piękny i nowoczesny teatr, a mianowicie alegorycznej kurtynie namalowanej przez Henryka Siemiradzkiego.

\*

Na naszej wystawie prezentowane są również książki wydane we Lwowie i książki przywiezione z Kresów. Książki zaraz po wojnie były towarem bezcennym i deficytowym. A jednocześnie towarem „pierwszej potrzeby” duchowej i edukacyjnej. Nasz, polski, biblioteczny stan posiadania, zarówno publiczny, jak i prywatny, mocno ucierpiał w trakcie drugiej wojny światowej. Toteż kto ocalił swój księgozbiór lub przynajmniej jakąś jego część, i wyganiany ze swego domu, jak nasi ekspatrianci z Kresów, zabierał nie tylko przedmioty (które w ogóle dało się zabrać) ważne ze względu na istnienie fizyczne, na doraźne „tu i teraz”, ale również ważne ze względu na istnienie duchowe i dalsze życiowe perspektywy, ktoś taki – mógł sobie potem pogratulować, a i inni, głodni literatury, głodni książek, nauki, jego znajomi, rodzina – mogli z tego również skorzystać.

Taką właśnie sytuację opisuje w swojej autobiograficznej powieści (nie wydanej dotąd w całości) Jan Goczoł, zmarły w zeszłym roku poeta z Opolą. A dokładniej – we fragmencie, który opublikował przed kilku laty wydawany w Brzegu ogólnopolski kwartalnik „Red.” Jan Nepomuk – tak nazywa się bohater i narrator, tożsamy z autorem – to autochton, harys, z rodziny o ciesielskich tradycjach. Uczęszcza do szkoły średniej w Strzelcach Opolskich, garnie się do wiedzy, do książek, do literatury polskiej, a tymczasem książek mniej niż jak na lekarstwo. Na szczęście spotyka na swojej drodze wspaniałą panią od polskiego, Kresowiankę, która pożycza mu swoje przedwojenne, ocalone książki. Na początek w jego ręce trafia słownik wyrazów obcych. Jan Nepomuk może go zabierać do domu na niedziele. Co wtedy czyni? Nie tylko czyta ten słownik, ale go przepisuje. Zapęłnia cztery stukartkowe zeszyty nowymi, nieznanymi mu dotychczas, słowami i ich objaśnieniami. Dzisiaj, w dobie nadmiaru wszystkiego, również książek oraz w dobie Internetu i Google’a, łatwości dostępu do wszelkiej informacji, tamto postępowanie może budzić litość. Ale powinno budzić przede wszystkim szacunek dla ludzkiej żądzy poznania i miłości do książek, dającej nadzieję, że cywilizacja Gutenberga nie upadnie.

Być może w biblioteczkę pani Firlej – bo tak się nazywała owa opatrznościowa dla Jana Nepomuka dama – znajdowały się również takie same przedwojenne wydawnictwa, jakie trafiły do naszego brzeskiego Archiwum Kresowego,

a więc np. *Nowoczesna Encyklopedia Ilustrowana Arcta*, *Biblia* Jakuba Wujka czy „ukraińska powieść” Gabrieli Zapolskiej *Małaszka*. Być może znajdowała się tam również popularnonaukowa pozycja pt. *Epokowe wynalazki w Ameryce i w Europie* (z 1932 r.), gdzie Jan Nepomuk mógł sobie poczytać nie tylko o pierwszych wehikułach parowych, lokomotywie szosowej z roku 1836, hydroplanach czy radiotechnice i maszynie radiowym w Raszynie pod Warszawą, ale także o początkach telewizji, w tym „telewizji w naturalnych barwach”, i wielu, wielu innych ciekawostkach naukowych.

W tej zwykłej i niezwykłej zarazem historii Kresy Wschodnie spotkały się z Zachodnimi.

\*

Archiwum Kresowe nie zamyka tej części swojej działalności, która polegała na pozyskiwaniu eksponatów. Zatem wszystkich chcących przekazać mu pamiątki związane z Kresami Wschodnimi i historią przesiedlenia prosimy o kontakt z pracownikami Muzeum Piastów Śląskich: Małgorzatą Młynarską (tel. 77 416 32 57 wew. 106) i Teresą Piasecką (tel. 77 416 32 57 wew. 118).

Nie dość podziękowań, więc wszystkim darczyńcom jeszcze raz się niskokłaniamy. Gdyby nie oni, nie powstałoby ani Archiwum Kresowe, ani wystawa *Kresy. Ocalone wspomnienia*. To, co nam przekazali, jest dla nas zobowiązaniem. Abyśmy dbali o to dziedzictwo, propagowali je oraz za jego pomocą edukowali. Mamy nadzieję, że dzięki takim przedsięwzięciom jak nasze – dzieje Kresów zostaną należycie upamiętnione i... nie będą miały kresu, lecz kontynuację. Ta historia będzie trwać dzięki ocalonej w różny sposób i na rozmaitych polach pamięci, będzie rozwijać się, obrastać nowymi, poświęconymi tej tematyce, dziełami, opracowaniami naukowymi, popularnonaukowymi, twórczością literacką rekonstruującą przeszłość.

Kresy w ogóle są dla nas zobowiązaniem. Testamentem, na mocy którego coś przyjmujemy, ale i do czegoś się zobowiązujemy. Do czego, to już każdy powinien sam sobie odpowiedzieć. W Kresach, które – jako się rzekło – są wszędzie, ufamy, jest jeszcze ta „siła fatalna” – jak u Słowackiego – która nas, zjadaczy chleba, w anioły przerobi!